

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!

Przede wszystkim pragnę pochwalić się nową stroną w Internecie. Tam można znaleźć wszystkie moje listy wspólne od 1980 roku. Jestem wdzięczny Nieznajomym z Suwałk za taki dar. O ile w pierwszych listach umieszczałem informacje raczej o moich przeżyciach, w późniejszych starałem się odpowiadać na problemy mogące zainteresować przynajmniej niektórych moich Korespondentów. Mniej odpowiadam już na problemy w listach prywatnych – te raczej piszę przez Internet – a prośby o moją opinię i odpowiedzi na konkretne pytania umieszczam w liście wspólnym. Może inni, niepytający, też skorzystają. Dziękujemy Panu Bogu za dar Internetu!

Długo planowane przemeblowanie zakrystii nie zostało zrealizowane tak szybko, jak pragnęliśmy. Stare meble dzieliły jedno pomieszczenie na dwa i zakrystia miała bardzo małą przestrzeń. A że od półtora roku ministrantów i ministrantem jest ponad setka, służących podczas niedzielnej Mszy Świętej dla dzieci pięćdziesiątka w pięknych strojach z Poznania i jeszcze dwie lub trzy dziesiątki w zwykłych komzach lub albach, potrzebna była większa przestrzeń. Do wyjścia do ołtarza ministranci przebywają na scenie w sali parafialnej i dzięki temu w zakrystii jest cisza. Taka gromada nie jest zdolna zachować się cicho. My zaś mamy więcej przestrzeni na rozmowę z parafianami, którzy po Mszy Świętej przychodzą do zakrystii. Pewna firma obiecała zrobić i ustawić szafy w ciągu dwóch-trzech tygodni od złożenia zamówienia. Dzięki uczynnym parafianom zaoszczędziliśmy kilkanaście tysięcy dolarów. Zrobione w innej firmie szafy według planów zostały ustawione i wykończone przez parafian pracujących bez zapłaty, ale ci mogli przybyć do nas dopiero po pracy wieczorem i nieraz pracowali nawet po północy (w piątki) lub do północy (w soboty). Wymieniono także posadzkę i nieraz trzeba było wychodzić do Mszy Świętej przez salę parafialną. Kilka razy brałem nawet ornat do konfesjonatu. Wymieniono też lampy. I chociaż jeszcze jest dużo drobiazgów wykończeniowych, w zakrystii jest więcej przestrzeni, a wystrój przyjemny.

Aby dobrze przeżyć Święta Bożego Narodzenia, trzeba dobrze przeżyć Adwent. Co roku zachęcam dzieci do robienia ozdób choinkowych i takie choinki uważam za ładne, które mają kupione tylko oświetlenie i świeczki. Niestety, niemal wszystkie spotkania opłatkowe w Kanadzie odbywają się w Adwencie, wraz ze śpiewaniem kolęd. Polacy starają się zachowywać polskie zwyczaje i choinki stoją w mieszkaniu do 2 lutego. Pewna rodzina żegna się z choinką w Wielkim Tygodniu z prozaicznego powodu: opadną wszystkie igły i łatwo zdejmować ozdoby. Można i tak. Nie wiem, nie pytałem, czy w Wielkim Poście śpiewają jeszcze kolędy. Dzieci są najlepszymi nauczycielami i o tym jeszcze raz przekonały mnie. Zapytałem dziesięcioletniej, czy ma już choinkę? Odpowiedziała z widocznym szczęściem na twarzy: „Tak, prawdziwą!” A w sklepach od trzech lat są choinki składane i ubrane. Aby je rozłożyć, wystarczy wyciągnąć i włożyć do gniazdka wtyczkę, potem przycisnąć guzik. Do kupienia przez cały rok.

Oczywiście, w Adwencie są rekolekcje krótkie, trzydniowe. Jednak każda parafia polska urządza jeszcze dzień spowiedzi. Nieraz dziwnym się, że ludzie chcą stać w kolejce dwie i więcej godzin, chociaż bez długiego czekania mogliby się wyspowiadać w dowolny dzień przed Mszą Świętą. W naszej parafii dwudziestu księży spowiada przez półtorej do dwóch godzin, a potem księża gromadzą się przy posiłku. W tym roku na czas nie przyniesiono kanapek i przez głośno mówiące telefony w całym domu, w zakrystii i na salach parafianie zostali poinformowani, że brat R. na czas nie dostarczył półmisków. W największej w świecie polonijnej parafii świętego Maksymiliana Kolbe (10 tysięcy rodzin zapisanych) trzydziestka księży spowiada przez dwa dni po trzy godziny. Tym razem pierwszego dnia dziwiliśmy się, że siedzieliśmy na krzesłach tylko przez półtorej godziny. Drugiego dnia siedzieliśmy przez cztery i pół godziny. Było więc razem 6 godzin, jak każdego roku.

Pierwszy raz w życiu w Boże Narodzenie przeżyłem „przygodę”, bo inaczej nie można nazwać tego zdarzenia. Zgodnie z planem, odprawiałem Mszę Świętą na sali po polsku (w tym samym czasie jest Msza Święta w kościele po angielsku). Kiedy przyszedł czas czytania Ewangelii, kaznodziei nie widziałem. Przeczytałem więc sam i rozejrzałem się, gdzie jest kaznodzieja. Nie było. Więc poinformowałem uczestniczących w tej Mszy Świętej, że spróbuję coś powiedzieć bez przygotowania. Po Przeistoczeniu wszedł na salę Kaznodzieja i szybko zorientował się, że już jest po Ewangelii. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie powie kazania w czasie ogłoszeń, ale spojrzawszy na zegarek domyślił się, jak było, więc złożył tylko życzenia bożonarodzeniowe. Poza tym, hańba spadła na kogoś innego, gdyż w niedziele i święta wprowadzenie do Mszy Świętej i intencję mszalną czyta lektor, a tym razem lektor nawet nie zauważywszy też się pomylił i zapowiedział imię innego ojca, pracującego 40 km od naszego kościoła. Radości było dużo i nie tylko tego dnia.

Ja sam nie umiem się cieszyć świętami już od wielu lat. Na Madagaskarze Wigilię urządzaliśmy po polsku dopiero w dniu 28 grudnia i nieraz trzeba było przejechać 60 lub 130 kilometrów niełatwej drogi. W Kanadzie myślę tylko o tym, aby zdążyć się wyspać między Pasterką, a pierwszą Mszą Świętą. Drugi dzień Bożego Narodzenia w Kanadzie jest dniem pracy, ale Polacy świętują, nie ma tylko Mszy Świętej po angielsku, bo

prawdziwych Kanadyjczyków dziwi nawet myśl, żeby iść tego dnia do kościoła. Jednak wiele urzędów jest zamkniętych. Natomiast w sklepach jest to dzień oddawania prezentów. Kanadyjczyk daje prezent ładnie opakowany z rachunkiem i obdarowany może otrzymać pieniądze, jeśli ofiarowana rzecz nie spodoba się lub byłaby nieużyteczna. To mi się nawet podoba, chociaż sam nie miałbym odwagi przyznać się, że wolę pieniądze, niż rzecz ofiarowaną. Po prostu jestem innego ducha.

W tym roku opłatek parafialny był połączony z obiadem, za który trzeba było zapłacić. Powód był prozaiczny. W kasie parafialnej brakuje pieniędzy na zapłacenie za materiały potrzebne do wykończenia zakrystii. Obiad trwał długo, był zespół grający skocznie do tańca i nie brakowało chętnych do obracania się. Natomiast opłatek obłacki jest zawsze w dniu 27 grudnia w parafii włoskiej, w której pracował przez wiele lat polski oblat, zmarły dwa lata temu. Obiad był w stylu włoskim (makaron obowiązkowo!), za czym ja nie przepadam, ale wziąć udział muszę. Natomiast z radością uczestniczę w opłatkach polskich księży. Od przynajmniej czterech lat czterdziestka księży spotyka się, aby połamać się opłatkiem, zjeść obiad i przede wszystkim nagadać się. Niektórzy mają 300 i więcej kilometrów. To świadczy o wewnętrznej potrzebie spotkania się na obczyźnie.

Nie lubię odbierać telefonów. Często słyszę mówiącego po angielsku i nie zawsze zrozumie albo mnie nie zrozumie dzwoniący. Numer parafialny poza godzinami urzędowania rejestruje prośby dzwoniących (tak zwana automatyczna sekretarka, miałem taką we Francji). Pewnego razu odsłuchałem prośbę z groźbą zarazem, abym jak najszybciej odpowiedział, bo to bardzo ważna sprawa. Człowiek ten był bardzo zdenerwowany, bo już nie pierwszy raz został zlekceważony przez parafię, gdyż nigdy nikt mu nie odpowiedział. Nie odpowiedziałem i ja. Ten z pretensjami człowiek nie podał mi swojego numeru. Jego niezadowolenie wzrośnie, ale ja do winy się nie poczuwam.

W styczniu co roku mamy tak zwane „Dni Studyjne”. Przez 4 dni zajmujemy się sprawami naszej Prowincji Wniebowzięcia Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej. Ludzie w Kanadzie, jak i w USA, lubią pieniądze, a adwokaci są w wielkiej liczbie i mają czas na zajmowanie się różnymi sprawami. Jedna z obłackich prowincji w Kanadzie ogłosiła nawet upadłość, bo nie była w stanie opłacać adwokatów. Problem polega na tym, że Oblaci prowadzili szkoły według programu rządowego. W programie nie były uwzględnione zwyczaje tubylców i teraz uczniowie tych szkół żądają odszkodowania za pozbawienie ich znajomości tradycji indiańskich. Chodzi i to, aby na przyszłość uniknąć wypłacania zasądzonych wysokich odszkodowań. Tu mogę przytoczyć zasłyszaną od parafian rozmowę z adwokatem: - Czy pan ukradł te pieniądze? – Nie – To proszę poszukać innego adwokata, bo czym mi pan zapłaci? Oczywiście, wszyscy tacy nie są. Przypomnieliśmy sobie nasze obowiązki, także wyjazdy na urlop do Europy. Mnie to interesuje, gdyż latem tego roku polecę do Polski, za kilka tygodni już muszę dostać bilet. Nie piszę „wykupić”, gdyż ja tylko urzędowo piszę podanie z datą wyjazdu, oczywiście uzgodnioną z ojcem proboszczem, a sprawy finansowe nie ja załatwiam.

W czasie tych dni w środę, dnia 24. stycznia, pojechaliśmy do polskiego kościoła świętego Maksymiliana, aby uczestniczyć w udzielaniu Święceń Kapłańskich pochodzącemu z tej parafii diakonowi Pawłowi, omi. Od maja mieszka on i pomaga w naszej parafii świętego Kazimierza i u nas pozostaje jako wikary. Nareszcie będzie nas trzech kapłanów. Do tej pory nigdy w tej parafii tak mało księży nie było, ja liczę się przecież za połowę. Pouczył mnie pewien starszy ksiądz, że od chwili przejścia na emeryturę ma więcej pracy, ale za to ma prawo wreszcie powiedzieć, że tego nie robi i ja z tego korzystam. Na przykład w deszczową pogodę nie jadę na cmentarz, co najwyżej odprawiam Mszę Świętą w kościele. Sama uroczystość Święceń Kapłańskich zgromadziła przynajmniej kilka setek uczestników. Święceń udzielał emerytowany biskup z Vancouver, także oblat, który parę zdań wypowiedział nawet po polsku. Po Mszy Świętej wszyscy zostali zaproszeni do dolnej sali na poczęstunek. I tu spotkałem znajomych. Był prenowicjusz z Ottawy z rodziny, u której najczęściej spędzałem popołudnia Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Byli uczestnicy pielgrzymki do Lourdes i Fatimy przed 7 laty. Był najstarszy ministrant z Ottawy i kilka innych znanych mi osób. Nie powinienem dodawać rzeczy oczywistej, że takie spotkania są zawsze miłe. Następnego dnia, jeszcze podczas Dni Studyjnych, ojciec Paweł odprawił pierwszą Mszę Świętą i udzielił nam prymicyjnego błogosławieństwa.

W najbliższą niedzielę, w dniu 28. stycznia, ojciec Paweł odprawił uroczystą Mszę Świętą Prymicyjną w naszym kościele. Śpiewał chór parafialny. Delegacje parafialnych stowarzyszeń złożyły życzenia, a potem około 140 zaproszonych osób wzięło udział w bankiecie na Sali parafialnej. Był obiad, były desery, była muzyka i tańce trzyosobowego zespołu *Non Stop*, dobrze znanego wśród Polonii. Oczywiście, przede wszystkim liczyła się atmosfera radosna i zyczliwa.

Przed kilku tygodniami proszono mnie, abym podzielił się spostrzeżeniami z kolędy. Już przed rokiem, dwoma i dziewięcioma o tym pisałem, ale że życzenia należy spełnić, powtarzam. Cieszy mnie, że umawiam się z rodziną zapraszającą kapłana i na odwiedziny przeznaczam przynajmniej godzinę, nieraz więcej. W Polsce ksiądz musi się spieszyć mając powyżej 5 godzin czasu dla 30-45 rodzin. Tutaj tylko jeden raz miałem do odwiedzenia 4 rodziny przez cały dzień. Zazwyczaj rodzina po modlitwie błogosławieństwa domu i mieszkańców proponuje coś do zjedzenia, przynajmniej kawę lub herbatę. Tu nie ma polskiego wmuszania do jedzenia, zawsze szanują wolę gościa i po raz drugi nawet nie ponawiają propozycji, jeśli się odmawia. Uzgadniając godzinę odwiedzin ja pytam, czy spotkam dzieci lub młodzież. Jeśli tak, to proszę, aby każdy przygotował dla mnie przynajmniej jedno pytanie, czego nie rozumie lub nie wie z religii. Często przypominam chińskie przysłowie: „Kto pyta, ten okazuje się głupi przez 5 minut, a kto nie pyta, pozostaje głupim do końca życia”. I kiedy siedzimy, rozmawiamy zawsze na tematy religijne. I to jest dobra strona kolędy na zaproszenie. W Polsce kilka razy zdarzyło mi się, że na

kolędzie umówiłem się na dłuższe spotkanie, aby porozmawiać na tematy, których nie dałoby się wyjaśnić przez kilkanaście minut. Tutaj ze mną parafianie mają kłopot, ponieważ nie mam samochodu i nieraz muszą po mnie przyjechać. Przejście nawet kilkuset metrów przy topniejącym śniegu sprawia mi problem bardzo trudny do pokonania. Zaraz po przybyciu do Kanady zrezygnowałem z kanadyjskiego prawa jazdy (mam francuskie, ważne tylko w Unii Europejskiej).

Jakie przeżycia towarzyszyły mi podczas kolędy? Szczera radość ze spotkania. Wyczuwałem przywiązanie do Kościoła i chęć pogłębienia wiedzy religijnej nie tylko u dzieci (ja wymuszałem to żądaniem stawiania mi pytań!). Była mowa o Walentynkach. Dziesięcioletnia знаła dobrze życie świętego Walentego, biskupa, męczennika, który błogosławił miłość rzymskiego żołnierza do swej ukochanej, kiedy prawo zabraniało żołnierzom zawierania małżeństw. Nie będzie potępiał Walentynek ten, kto zna genezę tego święta i kto potrafi odróżnić czystą miłość od szukania tylko własnej przyjemności. I tu radzę zwrócić uwagę na słowa Winicjusza w zakończeniu filmu „Quo vadis”. Byłem proszony o dodatkowe błogosławieństwo dla chorych albo przygotowujących się do egzaminu lub wywiadu przed przyjęciem do pracy. Spotkałem rodzinę księdza, z którym byłem w Warszawskim Seminarium, przez ostatni rok siedzieliśmy naprzeciw siebie przy stole w jadalni. Oglądałem zdjęcia z pracy artystów-emerytów, otrzymałem w prezencie ikonę i przy okazji wiele wyjaśnień związanych z malowaniem czy raczej pisaniem ikon. W jednym wypadku na drugi dzień po kolędzie spotkałem się z podziękowaniem za błogosławieństwo domu, gdyż ojciec uznał, że dzięki tej modlitwie na drugi dzień córka mająca 21 lat przeżyła wypadek samochodowy bez uszczerbku na zdrowiu, gdy jej samochód poszedł do kasacji po uderzeniu przez inny pojazd z boku. Ona jechała z szybkością 100 km/godz. I w takiej okoliczności zawsze protestuję. Przecież wszystkim kieruje Bóg, ja zaś chcę być tylko podobny do listonosza, przekazującego Bożą łaskę. Pamiętam, że w 1984 roku długo sprzeczałem się z nowicjuszami, którzy podkreślali zasługi misjonarza. Obstawałem długo, że jestem tylko pośrednikiem, a nie sprawcą.

Pierwszego dnia kolędy zdarzył mi się mały cud. Mnie często zdarzają się sytuacje w rodzaju naj... czyli najgłupsze, najzabawniejsze, najbardziej zaskakujące itp. Tym razem zgubiłem dwie kartki z adresami. Na szczęście, wcześniej w domu znalazłem na planie miasta domy, dokąd miałem iść. Brak kartki w kieszeni zauważyłem dopiero przed domem. Pozdrowiony zostałem przez nieznaną mi osobę, która zdziwiła się, że może ze mną rozmawiać po polsku. Ona pomogła mi wejść do budynku (przy drzwiach jest kod różny dla każdego mieszkańca w bloku). Kiedy zbliżał się czas do odwiedzenia drugiej rodziny, zostałem podwieziony do domu po adres, ale u siebie kartki nie znalazłem. Zostałem więc zawieszony przed długi dom i miałem nadzieję, że mnie zauważą. Gdy 10 minut spóźniony wysiadałem z samochodu, niecierpliwy parafianin wyszedł zobaczyć, czy przypadkiem nie pomyliłem drzwi, zresztą od ulicy też były zamknięte i otwierały się na kod. Wszystko zakończyło się więc dobrze, a nawet lepiej. W trzech połączonych domach mieszkało 11 polskich rodzin lub osób pojedynczych, którzy pragnęli także pobłogosławienia ich mieszkania. Spędziłem ponad 4 godziny. Tylko w jednym wypadku osoba mnie przyjmująca chciała być sama, aby porozmawiać o swoich problemach bez świadków. W innych mieszkaniach były razem 3 i 4 osoby samotne, dlatego kolęda nie przedłużała się. Starsze te osoby wciąż przebywały razem i tajemnic nie miały. W pierwszej rodzinie spotkałem dwie dziewczynki, które nie należą do naszej parafii, ale sobotę i niedzielę spędzają z babcią i dziadkiem, wnosząc radość także do sąsiadów. Niejeden raz w Kanadzie spotkałem wnuczki i wnuki, którym trudno jest przeżyć dwa tygodnie bez odwiedzin dziadków. Ale też ci dziadkowie i babcie zasługują za taką miłość.

Pewien problem miałem z pamiątkami kolędowymi. Nie zadbałszy o kupno obrazków, dlatego wymyśliłem coś innego. Dla każdej rodziny przygotowałem jedno zdjęcie z Madagaskaru przysłane mi przez ojca Krzysztofa, który miesiąc czasu przebywał z nami podczas swego urlopu. Dodałem trzy zdjęcia szopek z naszego kościoła: jedna duża stajenka jest corocznie stawiana obok kościoła i oświetlana nocą, drugie zdjęcie przedstawiało szopkę w kościele, trzecia na Sali parafialnej. Do tego dodałem płytę DVD ze zdjęciami z Marolambo, gdzie przed dwudziestu kilku laty przebywałem.

W chwili pisania tych zdań otrzymałem przez telefon zaproszenie do spotkania z młodzieżą w parafii świętego Maksymiliana. Okazją do zapoznania się z młodzieżą był wyjazd na pogrzeb babci ojca Pawła odpowiedzialnego za duszpasterstwo młodzieży w naszej parafii. Wyleciał do Polski w niedzielę po południu. Po wieczornej Mszy Świętej przypomniało mi się, że wtedy odbywają się spotkania z młodzieżą od 16 do 30 lat. Poszedłem otworzyć salę i zapytałem, czy chcą mnie. Nie byłem przygotowany do wykładu, nie znałem nawet zapowiedzianego tydzień wcześniej tematu. Szybko nawiązaliśmy kontakt, znalazły się interesujące tematy i tak upłynęły na rozmowach dwie godziny. W tej grupie była młodzież także z parafii świętego Maksymiliana. Stąd prośba skierowana do mnie przez duszpasterza tamtej parafii. Zaproszenie przez młodzież nie byłoby dla mnie wystarczające, zawsze żądam zaproszenia przez odpowiedzialnego duszpasterza albo przynajmniej uzgodnienia z nim. I zawsze dziwi mnie stwierdzenie, że posiadam doświadczenie. Słucham, ale nigdy w to nie wierzę. Jest prawdą, że wykonywałem bardzo różnorodne zadania, zwłaszcza na Madagaskarze. Po prostu starałem się w miarę swoich umiejętności i sił wypełniać obowiązki. Nie należałem nigdy do dobrych kaznodziejów, ale na początku mojego Kapłaństwa starszy kolega, ksiądz, nauczył mnie skutecznej „modlitwy” przed kazaniem: „Dmij, Duchu Święty, w trąbę swoją”. Tak sformułowana prośba może wydawać się bluźnierstwem, chociaż mnie przypomina, że i w tym wypadku działanie należy do Pana Boga. Zresztą tak się ustawiłem od początku Kapłaństwa, że gdy ja głoszę kazanie, nikt lepiej ode mnie tego nie zrobi, ponieważ... nikt inny nie głosi. Inna

sprawa, że ktoś inny mógłby powiedzieć inaczej i lepiej. Właśnie w ostatnią Środę Popielcową wygłosiłem jedno kazanie i dwóch wysłuchałem. Każdy z nas trzech inaczej ujął ten sam temat.

Jest niepisany zwyczajem, że po świętach Bożego narodzenia (i kolędzie) można wyjechać z parafii na jeden tydzień. Ja wybrałem Mexico City ze względu na Sanktuarium Matki Bożej w Guadelupe. Przygotowania nie trwały długo. Po dwóch dniach od ustalenia daty mojego wygrzewania się w tropiku miałem bilet na samolot i zarezerwowany hotel czterogwiazdkowy. W takim jeszcze nie mieszkalem. Nie wiedziałem, jak się zachowywać w luksusie. Pocieszano mnie, że Meksyk należy do trzeciego świata i z pewnością tamtejszy standard nie odpowiada tutejszemu, kanadyjskiemu. Kupiłem więc książkę – przewodnik po mieście Mexico City w języku angielskim i zacząłem układać plan zwiedzania miasta. Zwiedzić 161 muzeów i 108 galerii sztuki przez tydzień jest rzeczą niemożliwą, więc trzeba było wybrać najważniejsze i w stolicy. Dokonałem tego podczas dni studyjnych. Problemy zaczęły się dopiero później. Ja ustaliłem dzień odlotu na 13 lutego, we wtorek, ponieważ ojciec proboszcz zaplanował odpoczynek od 4 do 12 lutego, a więc jeden z nas pozostawał w parafii. Oprócz tego był przecież ojciec Paweł i dodatkowo dwóch oblatów, misjonarzy z Polski, którzy poprowadzą rekolekcje wielkopostne w polskich oblatkach parafiach w Kanadzie. Tymczasem okazało się, że ojciec proboszcz otrzymał bilet samolotowy na piątek, 9. lutego i odleciał. Ktoś się pomylił i nie można było nawet dojść, kto z czwórki zrobił dziewiątkę. W sobotę przyszła wiadomość o śmierci babci ojca Pawła i w niedzielę wieczorem odleciał na pogrzeb do Polski. Od wtorku do piątku pozostali w parafii tylko dwaj goście, a codziennie mamy trzy Msze Święte. Jakoś przeżyli. Jest to jednak zdarzenie pouczające, że trzeba bardziej uważnie robić plany zajęć. Ja nie mogłem zmienić daty odlotu i przylotu, gdyż miałem bilet tani i u celu musiałem spędzić niedzielę. Gdybym nie poleciał oznaczonym kursem, bilet straciłby ważność i nie mógłbym otrzymać nawet części pieniędzy. Kupno takiego biletu, zazwyczaj 40% wartości biletu zwykłego, jest zawsze niebezpieczne, ale tym razem wszystko dobrze się skończyło. Zdarza się, że niektórzy kupują dwa takie bilety, jeśli nie pozostają u celu przez niedzielę. Zyskują 20%.

*Z serdecznym pozdrowieniem
W Chrystusie i Maryji Niepokalanej
O. Jan Sadowski, OMI*